OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 18/30 Sierpnia 1865 roku.

Nr 35. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

LEGENDA O ZAMKU IŁŻECKIM.

Jest w Królestwie Polskiem, gubernji Radomskiéj, w powiecie Opatowskim położone miasteczko, w zwyczajném narzeczu Iłża, właściwie Jéj łza, nazwane. Leży ono u stóp dość wysokiéj góry, zaczynającéj niejako pasmo gór Święto-Krzyzkich, nad brzegiem obszernego, bo więcéj cwierć milowego jeziora. Na téj górze sterczą ruiny zamczyska, które wyobraża podana powyżéj rycina. Otóż do tych miejsc przywiązane jest tkliwe podanie, które tu w streszczeniu przytaczamy.



Ruiny zamku Iłżeckiego.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Sznage).

W około téj góry, gdzie są zwaliska, był bór odwieczny, ogromny, a knieje obfite i w zwierza i w ptaka nęciły panów na łowy. I król sam zapuszczał tu swoje ogary i w róg swój srebrny wydzwaniał, a w zamku drewnianym, co stał tu na górze, chętnie po łowach ucztował. I echo wciąż niosło, daleko po borze, dźwięk trąb lub huki wiwatów, co wrzały na zamku, jak w ulu miodowym, te głosy wesołéj drużyny. Przebrzmiały te dźwięki, wiwaty ustały, cisza zaległa grobowa i bory, i knieje, i brzegi jeziora, i ściany starego zamczyska.

I trawa porosła dziedzińce zamkowe, lud się po lasach rozbieżał; ten jął się za sochę, ten za sieć rybaczą, inny w daleką udał się stronę. A w izbach co wrzały radością, weselem, pająk rozwiesza swą sieć, lub puszczyk grobowy na baszcie zahuczy i głuche przerwie milczenie. I długo tak było, aż ściany zamkowe zawrzały znów szumem i zgiełkiem, a wały naprawne i znowu się snuje pełno zbrojnego żołnierza. Nie łowy to wabią dziś nowych tych gości, ani wesoła ochota, lecz król tu swą żonę w tajemnem ukryciu chowa przed złością

i zdradą, zawiścią i matki rodzonéj chytrą obłudą i zemstą.

Więc zbrojne żołnierze postawił na wałach, w dziedzińcach wierną drużynę, sam się zaś śpiesz do starego grodu, na sejm zwołany w Krakowie. I gońce wciąż biegą z obu stron z listami, lecz smutnie pisane w nich wieści, boć smutno na zamku, a biedna królowa, modli się tylko i płacze.

Oj smutne te wieści, bo sejm i magnaci wydrzeć królowi chcą żonę, rozwiązać chcą śluby, a nawet już z Gniezna gotowe mają pisanie, gdzie kościół rozgrzesza i w nowe wejść związki dozwala,—pokutę i winę za grzech na kraj, na naród rozdziela.

Królowa w łzach tonie, a ludek z pobliża u stóp już góry zebrany, chce ujrzeć swą panią i chlebem i solą, a szczerem sercem powitać, i wyszła królowa na ganek zamkowy, i chce przyjazne rzec słowo, lecz boleść tamuje dźwięk głosu i tylko strumień łez rzewnych wytrysnął.

I łezka perlista, jak rosy kropelka, siedmiu barwami lśni w górze, i spada z wysoka, i rosi tę ziemię, gdzie stał zebrany lud wszystek, a lud ją uświęcił, tę rosy kropelkę; zaraz osadę założył, co wzrosła w swym czasie, dla wiecznéj pamięci *Jéj łzą* po dziś ją nazywa. *Tomasz Snarski.*

ŻNIWO,

(PIEŚŃ WIEŚNIACZKI).

Minął maj zielony,
I czerwiec gorący;
Pożółkły już plony,
Boże wszechmogący!

Słowik już nie śpiewa,
W zaroślu pod lasem,
Bo zboże dojrzewa,
Bo żniwo za pasem.

Oj! żytko jedyne,
Oj! pszeniczko złota,
Wnet w ranną godzinę,
Zacznie się robota.

Jęczmieniu! wąsalu,
Co się dumnie chwiejesz,
Narobiąż ci żalu,
Ani się spodziejesz.

Owiesku mój ładny,
Co tak szumisz hożo,
Zetnie cię sierp zdradny,
Na ziemię cię złożą.

Hejże daléj, hola!
I ty ciężkie proso,
Zabiorą cię z pola,
Do stodoły zniosą.

Pójdzie z pola jarka,
Człek się uspokoi,
I pani tatarka,
Sama nie dostoi.

Hejże! cała wioska,
Wyruszy gdzie trzeba,
Niech się nikt nie troska,
Będzie dosyć chleba.

Serce się raduje,
Choć spocone czoło,
Gdy człowiek pracuje,
To mu tak wesoło.

Boć to tak przyjemnie,
Gdy myśleć nie trzeba,
Że się gdzieś daremnie,
Nie spożywa chleba.

Ostrz-że mi sierp żywo,
Mój kowalu złoty,
Boć nadeszło żniwo,
Czas mi do roboty.

Brzęku, brzęku, brzęku,
Niby w jakim dzwonie,
Już go czuję w ręku,
Już żną na zagonie.

Danaż moja dana!
Minie dzień po dzionku,
Od samego rana,
Człowiek już na słonku.

A potem też miło,
Wspomnieć przy kominku,
Jak sie to tańczyło,
Skocznie na dożynku.

Emilja Leja.

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA,

opracowany przez

Juljusza Starkla.

WSTĘP.

Ot, dziwnie mizerne jest to życie ludzkie! Pali się człowiek do czasu, jak ona świeczka łojówka, aż naraz przyjdzie śmierć, dmuchnie raz tylko, i już nie ma człowieka, już kładą martwe zwłoki między cztery deski, ksiądz pokropi, kościelny zadzwoni, a ludzie popłaczą i ziemią przysypią. A potem cóż? westchną czasem za twoją duszę do Boga, jeśliś cnotliwie i z pożytkiem przeszedł ten żywot ziemski; a jeśliś był grzesznikiem, na szkodę swych bliźnich żyjącym, to łzy sieroce i gorzkie narzekania ludzkie, lecą jeszcze przed tron Boży za twoją duszą nieczystą. Dziwnie mizerne jest to życie ludzkie! Przechodzą synowie za ojcami, wnuki za dziadami, przechodzą całe pokolenia po sobie, i tak ci się zdaje, że przeżyć długie lata, to jak jedną noc zimową przespać, nie trudno i słodko; a przecież jak to łatwo każdemu noga się pośliźnie; a przecież choć z grzechami na barkach staje każdy po nad grobem, to i tak jeszcze życia nie nauczony, choć się przez długie lata żyć uczył! I szczęśliwy jest człowiek, jeśli choć zostawi dobre dziecko po sobie, krew swoją i swoję imię; spokojniéj zamyka oczy na sen wieczny, jeśli zrobił w swem życiu wszystko co mógł i co mu Bóg kazał; kona z uśmiechem na ustach, jeśli uczciwa praca była mu zawsze u boku; jeśli kochał bliźnich, a ucząc się w pracy, ich także pouczał, jak żywot pędzić należy. Szczęśliwy taki człowiek, bo duszą idzie do nieba, a poczciwa pamięć długo o nim u dzieci i u sąsiadów zostanie.

Ot, łzy mi jeszcze z ócz kapią, bom znał takiego człowieka, a niedziel temu kilka jakiem rzucił grudkę świętéj ziemi na jego martwe zwłoki. Późnéj starości doczekał, troje dorosłych dzieci w dobrym bycie zostawił, a imię jego Antoni Kostur.

Byłem przy śmiertelnem łożu starego Antoniego. Posiliwszy się już Świętemi Sakramentami na drogę do wieczności, leżał chwilkę milczący, znać przepraszał Boga modliwą za ostatnie grzechy; potem otworzył oczy i rzekł do najstarszego syna:

— Stasiu, otwórz-no do mojéj skrzyni. Są tam na samym spodzie stare pisma w szmatkę owinięte, wyciąg je i daj mi.

Stanisław dostał z skrzyni cały zwitek papierów i podał go ojcu. A stary Antoni spoglądał na nie długą chwilę z rozrzewnieniem, i dwoje łez mu wypłynęło z oczu, a potem przycisnął pisma do ust, i rzekł słodkim głosem:

— Tomaszu, Tomaszu, jeszcze choć dwoma łzami pozdrawiam cię na téj ziemi; Ty już tam dawno radujesz się w chwale niebieskiéj, i oby dał Pan Bóg, żebyśmy się tam znowu spotkali! A was tym pocałunkiem żegnam pisma moje drogie, bo mi przypominacie cały mój żywot, wszystkie dnie radości i smutku, boście nieraz czyniły ulgę sercu memu w chwilach ciężkich i przykrych.

I to powiedziawszy, westchnął stary Antoni, a potem zamknął oczy i leżał znowu długą chwilę spokojnie. Ja niezrozumiałem nic tych słów Antoniego; były to znać jakieś wspomnienia z lat młod-

szych. Nagle ruszył się słaby na pościeli, i rzekł cichym głosem:

— Grzesiu, przystąp-no bliżéj.

Więc ja duchem stanąłem obok łóżka i nachyliłem głowę, chcąc słyszeć co Antoni powie, a on wyciągnąwszy rękę z papierami, w te się odezwał słowa:

— Masz te stare pisma, weź je jako najdroższą spuściznę po mnie. Moje dzieci wszystkie chodzą koło gospodarki, i są w téj pracy szczęśliwe i wesołe. Ciebie zaś mój Grzesiu stworzył Pan Bóg do książki i do piórka, więc dzieciom całe mienie gospodarskie, a tobie zostawiam te papiery, bo będziesz mógł prędzéj zrozumieć, jak wielką mają one wartość. Są to papiery dawno zmarłego staruszka, ojca mojéj żony nieboszczki, Panie świeć nad ich duszami, i są też papiery przezemnie, w różnych chwilach mego życia spisane. Teść mój i ja, obadwaśmy długie przeżyli lata, może się więc w tych papierach niejedno dobre znajdzie, dla was młodych ku nauce. Czytaj sobie mój Grzesiu te pisma, a jeśli ujrzysz, żeby to i więcéj ludzi z pożytkiem czytać mogło, to możesz je podać do druku.....

Zakaszlał się w téj chwili starowinka, więc przestał mówić, i znowu długą chwilę było cicho. Ja wziąłem papiery, ucałowawszy przytem jego drżącą rękę, a łzy wdzięczności stanęły mi w oczach.

Po niejakim czasie ocknął się znowu stary Antoni i mówił jeszcze długo, lecz już nic o papierach. Obdzielał majątkiem całą rodzinę, dawał rady i nauki, a potem żegnał synów i ich żony, córkę i zięcia, żegnał małe wnuczęta, i żegnał sąsiadów, parobków i wszystkich co byli przytomni. Popłakali się ludzie serdecznie, a starowinka ułatwiwszy się z doczesnemi rzeczami, westchnął do Pana Boga i jął się modlić; i oto w czasie modliwy zwiesił głowę na bok, westchnął jeszcze raz głęboko, i zasnął na wieki słodko i spokojnie, jak gdyby tylko na noc jedną.

Nie tylko cała wieś, ale i sąsiednie sioła wysypały się na pogrzeb Antoniego, i było kilku księży, panowie i panie: bo wszyscy znali Antoniego z jego pełnego cnót życia. Płakały dzieci i wnuczęta, a inni modlili się cicho za duszę zmarłego, a na mogiłkach każdy się cisnął, aby rzucić swą grudkę ziemi świętéj. I tam już każdemu stanęły łzy w oczach, bo choć Antoni co do jednego dnia dziewięćdziesiąt lat przeżył, wiek dzisiaj już rzadki; toć przecie każdemu żal było, że tak cnotliwy człowiek schodzi z tego świata!

Długo ja potem rozczytywałem pozostawione mi przez Antoniego pisma. I wyczytałem tam bardzo dużo dobrego i mądrego, i sam się z tajemnic życia ludzkiego wiele nauczyłem. Żal mi tylko było, że tego wszystkim moim znajomym dać nie mogę, bo nie sposób było tyle przepisywać. Przemyśliwałem więc jakby tu temu zaradzić, i krzątałem się tu i owdzie za tem. I owóż poszczęścił Pan Bóg moim staraniom! Wydaję dziś drukiem historję życia Antoniego Kostura, przez niego samego spisaną; mam jeszcze wprawdzie i pisma po teściu Antoniego pozostałe, ale te, da Pan Bóg, dopiero może późniéj będę mógł wydać.

Tę zaś oto historję Antoniego czytajcie bracia moi dobrem sercem i dobrym umysłem; uważajcie na każde słowo i na każdy wypadek, bo wiele jest pożytecznéj nauki w tem opowiadaniu, a żaden człowiek nie był jeszcze taki mądry, aby się uczyć nie potrzebował. Posiądź tę mądrość wielką, jak Boga i bliźniego kochać, i ucz się daléj jak żyć spokojnie, a ucz się aż do śmierci, bo wtedy tylko znajdziesz i śmierć spokojną!

ROZDZIAŁ I.

w którym Antoni opisuje jedną chwilę ze swoich lat młodych.

Wieś, w któréj się urodziłem, zowie się Korczówka. Rodzice moi byli to ubodzy ludzie; poczciwą a ciężką pracą zarabiali na chleb powszedni, a mieszkali komornem u jednéj staréj wdowy, także nie bardzo bogatéj. Ojca mojego całkiem sobie nie przypominam; odumarł mię bardzo maleńkim, bom jeszcze roku nie dochodził; późniéj mówili mi ludzie, że się był razu pewnego bardzo w lesie zdźwigał, i ztąd zapadł w ciężką chorobę, a w kilka tygodni skończył. Matka żyła jeszcze pięć lat po śmierci ojca; bywało, płacze bardzo często za nim i narzeka na świat i na ludzi, bo jéj, jako saméj niewieście, niedobrze się już potem wiodło. Marniała też i marniała coraz bardziéj, a po pięciu latach takiéj mitręgi, pamiętam sobie jak zaniemogła, a choć się baby z całéj wsi z radami schodziły, to przecież nic nie pomogło, nie wstała już więcéj z pościeli. Więc ludzie zbili z czterech tarcic trumnę, a gdy ksiądz pokropił, wynieśli cicho na cmentarz, i na tem koniec. Nie rozumiałem ja jeszcze wtedy, co to jest stracić rodziców; więc ot, popłakawszy trochę, skoro matkę do grobu spuścili, poszedłem potem między ludzi i pasałem im gęsi i trzody. Oj, wtencas to dopiero zaznawszy cięzkiéj biedy, zapłakałem nieraz nad sobą i poznałem, jakie to nieszczęście być od wszystkich opuszczonym sierotą na ziemi!

Zeszedł tak blizko lat dziesiątek, a ja ciągle pasałem bydło i trzody, choć przecie piętnastoletni, tęgim już byłem wyrostkiem i chętnie do innéj wziąłbym się pracy. Lecz cóż, nie było na to sposobu, bo żaden z gospodarzy, nie potrzebował parobka, a zwłaszcza, że mnie jeszcze za dziecko uważali.

Tak stały rzeczy, gdy oto niespodzianie okropne nieszczęście dotknęło Korczówkę. Było to na wiosnę, jakoś w samą wilję św. Wojciecha; w nocy zerwała się wielka burza, i piorun uderzył w jednę chałupę, w samym środku wsi stojącą. Chwilkę tylko, i całe obejście stanęło w płomieniach, a zanim się ludzie pobudzili, zajęła się już i sąsiednia zagroda. Zbiegli się gospodarze z całéj wsi, i cóż? stanęli i nie ratują, mówiąc:

— Kiedy się od pioruna zajęło, to widać już taka wola Boska! My się nie możemy ogniowi sprzeciwić!

— Mój Boże! a gdzieżby w tem Twoja wola być mogła, abyś palił zagrody cichego sioła? Lenistwo i niechęć ludzka, wymyśliły sobie taki szkaradny zabobon, i przez to niszczeje tyle mienia, a często i całe wsie do szczętu. A owóż i w Korczówce nikt nie chciał ratować na razie, ale skoro ogień przeniósł się na czwartą i piątą chałupę, tak widząc, że nie ma żartu, rzuciło się wszystko do ratowania. Niestety! już było za późno; większa połowa wsi zgorzała do szczętu.

Nie opiszę ja płaczu i lamentu pogorzelców. Ratujący głowy potracili, więc dużo zboża i siła potrzebnych sprzętów zgorzało, a nawet chudoby sztuk kilka. Bieda nastała wielka, jako że to i tak na przednówku, skwierk i niedostatek we wszystkiem.

I nie jeden zamożny gospodarz nie miał tam co wziąść do gęby, więc cóż ja tam miałem robić, ja biedny sierota, co i w czasach dostatku, łaską ludzką się żywiłem? Widząc też, iż pogorzelcom nic nie pomogę, a sam owszem z głodu mógłbym zginąć, postanowiłem sobie pójść gdzieś w świat, szukać zarobku i przytułku u ludzi. Jakoż na trzeci dzień, rychło świt, poszedłem na mogiłki, i tam modliłem się chwilę na grobie ojca i matki, a łzy mi z ócz sznurkiem płynęły. Potem nabrawszy otuchy, szedłem i zapukałem do chaty onéj wdowy staruszki, u któréj jeszcze moi ojcowie nieboszczykowie komornem mieszkali, i tam sobie wyprosiłem mały bocheneczek czarnego chleba z ościami.

— A dokądże ty pójdziesz dziecko? pytała mię staruszka.

— Ot, w świat, między ludzi! odrzekłem śmiało.

Więc ona mię pobłogosławiła, a ja podziękowawszy za chleb i za dobre słowo, ruszyłem w drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOLÉJ WARSZAWSKO-TERESPOLSKA.

Czytelnicy nasi słyszeli już zapewne, iż w roku bieżącym, skutkiem uzyskania koncessji czyli pozwolenia rządowego, rozpoczęło prywatne stowarzyszenie kapitalistów, budowę drogi z Warszawy do Terespola. Dzisiaj ważność dla kraju i pojedynczych ludzi kolei żelaznych, lepiéj jest u nas oceniana niż dawniéj, gdy ludzie prości bali się machiny parowéj, posądzając ją o to, że się porusza siłą nieczystą. Każdy już niemal prostaczek wie obecnie, iż ruch nadaje tu siła pary wodnéj geniuszem ludzkim do téj pracy jak i do wielu innych zaprzęgnięta. Machina taka, po kolei żelaznéj przebiegając bardzo szybko, i dźwigając a raczéj ciągnąc wielkie ciężary, oddaje niezmierne przysługi handlowi, przemysłowi a nawet i rolnictwu, które mnóstwo płodów tą drogą prowadzić może na odległe targi, gdzie utrzymują się ceny, dające dobry zarobek rolnikom. Warszawa, jest w naszym kraju największym takim targiem, wszystkie więc okolice leżące przy kolei, prowadzącéj do naszego miasta, nie mały z tego odniosą pożytek. Koléj, o któréj mówimy, od strony Pragi opuści Warszawę i dążyć będzie przez Mińsk, Kałuszyn, Siedlce, do Terespola, który leży na wprost znacznego miasta Brześcia Litewskiego, zbudowanego obok twierdzy nad rzeką Bugiem. Z tego więc widzimy, iż koléj przechodzić będzie przez tak zwane Podlasie, które już oddawna uważane jest za spichlerz Warszawy. Ztamtąd to dostajemy największą ilość jarzyn, owoców, grzybów tak świeżych jako i suszonych, masła, jaj, drobiu i innych przedmiotów stanowiących pierwsze potrzeby życia. Nadto z tych stron (od Włodawy) pędzą stada bydła stepowego, które służy na konsumcję naszemu miastu. Ułatwienie więc komunikacji, z jednéj strony powinno wpłynąć na stanienie tych artykułów na targach Warszawskich, a z drugiéj na rozszerzenie ogrodów, obór, mleczarń, chowu drobiu na całéj linji, czem się głównie zajmują drobni właściciele czyli tak zwana zagonowa szlachta i włościanie. Lecz niedość tego; rzemieślnicy i kupcy nasi mogą wiele zyskać na téj linji. Sam Brześć-Litewski jest punktem handlowym i może być uważany za miejsce odbytu na nasze wyroby, szczególniéj rzemieślnicze i fabryczne. U Brześcia też kończy się tak zwana linja kanału Muchawieckiego czyli królewskiego, która prowadzi z Buga przez Muchawiec kanałem (wykopanym za Stanisława Augusta i stąd zwanym królewskim), do Piny, która uchodzi do Jasiołdy wpadającéj do Prypeci, a z tą do Dniepru. Mnóstwo statków z rozmaitemi produktami idzie tym kanałem, a wszystkie te towary (przeszło za miljon rubli wartości), po przybyciu ich do Brześcia, transportować będą koleją na Warszawę a nazad wyroby Warszawskie nad Prypeć do Pińska i nad Dniepr, gdzie właśnie takich przedmiotów ludność poszukuje. Nadto, spodziewać się należy, iż koleje zbudowane już w gubernjach Cesarstwa północno-zachodnich i Nadbaltyckich, połączone zostaną z kolejami południowemi czyli Czarnomorskiemi; linją idącą z Pińska do Grodna. Wtenczas koléj Warszawsko-Terespolska przedłuży się do środka téj drogi, i ułatwi tak na północ jak i na południe odbyt jeszcze większy dla naszych wyrobów fabrycznych i rzemieślniczych. Spodziewając się tak błogich z téj drogi skutków dla naszego miasta; nadmieniamy, iż od Siedlec pójdzie w przyszłości odgałęzienie na Lublin i nawet do granicy; dla połączenia z kolejami w Galicji zbudowanemi. Ziemne roboty i nasypy na linji Warszawsko-Terespolskiéj w tym roku doprowadzone są już do Siedlec. *Adam Wiślicki.*



Więc ona mię pobłogosławiła,—(str. 280, szp. 1).
(Rysował Tegazzo — wyciął na drzewie Olszewski).

JAK SIĘ WZNOSZĄ POCZCIWI LUDZIE.

OBRAZEK WIEJSKI W DYALOGACH,
przez
Eleonorę Ziemięcką.

OSOBY:

Pan **Bychalski**, ekonom.
Zosia, córka jego.
Pan **Jan Wilkowski**, dziedzic wsi.
Pan **Mateusz Głoskowski**, nauczyciel wiejski.
Józef Kostka, syn ekonoma ze wsi sąsiedniéj, uczeń agronomiczny.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

Zosia sama, ubrana w niebieską płócienkową sukienkę z czarnym fartuszkiem—haftuje w krosienkach i śpiewa „Rojenia wiośniane,” Bohdana Zaleskiego.

O! widać i słychać—w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie;
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek,
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka;
La, la, la, piosenka! i t. d.
(wchodzi pan Bychalski).

Zawsze ten sam śpiew i ta sama pustota w głowie, czasby już było dziewczyno nie marzyć, lecz postanowić; doprawdy, że obojętność twoja na los przyszły do rozpaczy mnie doprowadza.

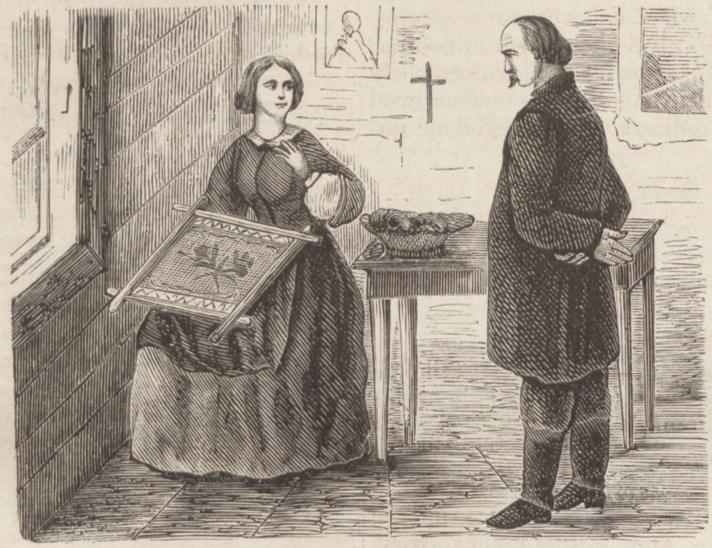
Zosia.

Widać ojczulku, żę Bóg nie chce takiéj stanowczości odemnie, kiedy nikt nie przedstawia mi stałych zamiarów, dobrze w piosneczce to wyrażone i *znów nuci:*

Bałamut, nie wie-
[rzę, nie wierzę,
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka;
La, la, la, piosenka!

Bychalski.

Nie przedstawił, bo niechcesz, bo unikasz, bo każdy poważny zamiar zbywasz pustotą, działaszjakdziecko niepomna na to, że ja stary, mogę cię rychło osierocić, a z długiéj i uczciwéj służby, oprócz szacunku ludzkiego, niewiele dziecięciu memu zapewnić zdołałem. Któż ci rady i pomocy udzieli, jak mnie już nie będzie?



.....nie mów tak, bo serce mi się kraje; — (str. 281, szp. 1).
(Rysował Jastrzębowski—wyciął na drzewie Walter).

Zosia.

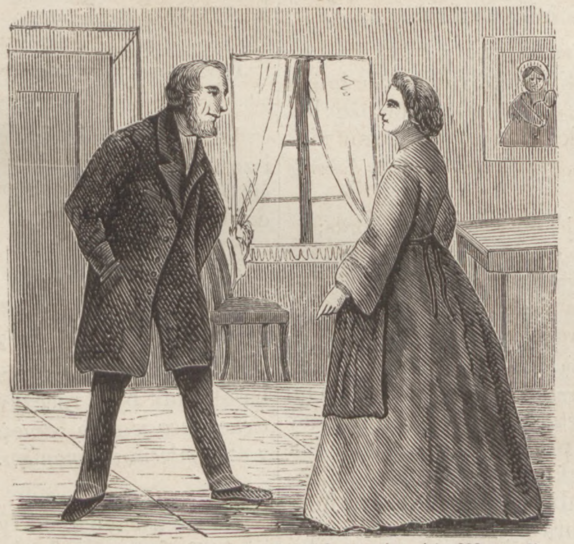
Ojczulku, ojczulku, nie mów tak, bo serce mi się kraje; jakże mam pokochać małżeństwo, kiedy mnie do niego zawsze straszną myślą śmierci twéj zaganiasz. Nie, Bóg nie uczyni mnie tak rychło sierotą (*przypadając do kolan*), jeszcze ty długo szczęściem Zosi cieszyć się będziesz.

Bychalski.

To też właśnie, żebym się dłużéj tem szczęściem mógł lubować, ja cię proszę, postanów co o twoim losie; wybierz raz jednego z tych poczciwych ludzi, którzy się o twoją rękę ubiegają.

Zosia.

Gdzież są ci ludzie ojczulku, ja ich doprawdy nie widzę, mnie to wszystko zdaje się komedją. O czyż to ja napróżno przez was ojcze i anielską matkę moją starannie wychowaną zostałam, abym pozłacanym słówkom ułowić się dała!



Ach pani, gdybyś miała choć cokolwiek uczucia,—(str. 282, szp. 2).
(Rysował Jastrzębowski—wyciął na drzewie Walter).

Bychalski.

Wymagającą jesteś Zosiu, toż to te zaloty panicza naszego tak szczere, tak wytrwałe, bo już rok trwające, komedją nazywasz. Któż go przymusza do przepędzania całych wieczorów w chacie biednego ekonoma, kiedy w pałacach mógłby tak łatwo żony poszukać.

Zosia.

To też tatku kochany, nienaturalność tego zamiaru mnie zniechęca. Pan Jan, to młodzik bez doświadczenia, śmiały tam, gdzie trudności niema. Dotąd wizyty jego u nas nie doszły do wiadomości rodziców, mieszkających w Warszawie, ale niechno tylko słówko groźne usłyszy, a odbiegnie i uczuć i zamysłu, nam zaś zostanie tylko wstyd łatwowierności, jeżeli zaloty jego weźmiemy na serjo.

Bychalski.

Ah przemądra i podejrzliwa dziewczyno, cóżby zresztą rodzice jego mogli mieć przeciwko tobie? Alboś to ty zwyczajna córka ekonoma? Czyniе trzymałem cię pięć lat na pensji u zakonnic? Czytasz, piszesz, mówisz po francuzku, a rozumu w téj głowie, Panie odpuść, jak w mędrcu jakim.

Zosia.

Bardzo to mało, mój ojcze, w porównaniu z tem co inni umieją, ale gdybym nawet i w części uznała słowa twoje, boć one mi łaskę waszą i staranność tak czule wyrażają; to powiem wam, drogi tatko, że właśnie dla téj mojéj mądrości, nie dam się wziąść na wędkę i nie stracę rozumu dla próżnych obietnic.

Bychalski.

No, niech i tak będzie, badaj, probuj, ale postanów co nakoniec.

Zosia.

Tak, to dobrze—badać i probować—na to zgoda, tym bardziéj kiedy to starego ojca ma ucieszyć, a dla mnie będzie tylko nowym tryumfem mojéj mądrości.

Bychalski.

Ależ to on niejeden, a ów poczciwy bakałarz, który ma lada dzień dostać wezwanie na profesora w szkołach wojewódzkich. A ten bogaty Niemiec, co taki śliczny młyn w naszéj okolicy zbudował, że aż mi jego warczenie ślinę do ust napędza, żeby moja Zosia mączkę bielutką razem z talarami za nią garnęła! Człowiek stateczny, rozsądny i rozkochany...

Zosia.

Ojczulku drogi, wszystko to słowa; ci dwaj mnie kochają, bo im się uśmiecha kilka tysiączków twoich, ciężko zapracowanych, o których niepotrzebnie mówiłeś ludziom; sprobuję ja wybić im to z głowy, a zobaczysz, jak ich gorące uczucia w lody się zamienią. I zaprawdę czas to już zrobić, gdyż śmieszni ci konkurenci, nudzić mnie zaczynają.

Bychalski.

Już widzę, co to się święci, dziewczyno; ty wszystko tak poniewierasz—bo byś chciała ich uprzątnąć, aby ten wisus goliasz Józef znalazł pole wolne, kiedy znów do ojców przyjedzie na święta. O tem ani myśl dziewczyno, wara od goliasza, na to nigdy nie pozwolę.

Zosia.

A gdyby on też nie był goliaszem, gdyby praca i nauka jego, już zaczęły przynosić owoce i postawiły go w położeniu, które kiedyś *prawdziwie wznieść go może..*

Bychalski.

Jego?— pustaka! co cały dzień biegał tylko ze strzelbą przez wakacje, a wieczór bawił się czytaniem wierszy dziewczętom...

Zosia *(zarumieniona)*.

Wiersze ojczeńku, często wielką mądrość zamykają; to co Józef mi czytał, pisały bardzo uczone głowy, a ja rada byłam, że on miłuje takie zabawy.

Bychalski.

Śliczny mi agronom: gospodarstwo we flincie, a praca w piosneczkach.

Zosia.

Toż to były chwile odpoczynku!

Bychalski.

No, dajmy już temu pokój, ubierz się ładnie, bo w południe panicz przychodzi, a moją wolą jest, abyś lekko takiego losu nie odpychała *(odchodzi)*.

Zosia *(sama)*.

Ubrać się do panicza? Nie, alboż to niedość ładna jestem w téj sukience, *(przegląda się)*, ot włożę lila chusteczkę, w której mi tak do twarzy, wieczór niedaleko, *on* może nadjechać, *on* drogi. *(Wiąże kokardę z chusteczki pod szyją i śpiewa):*

Gość jedzie, już w bramie; rży konik z podwórka;
Mój Boże! ach! co go przywiodło!
I woła i pyta: „a państwo a córka?"
I cugle zarzuca na siodło.
O milsze krosienka, i t. d.

Nim ci nudziarze nadejdą, przeczytam jeszcze list jego *(wyjmuje karteczkę z zapiersi)*. Drogie pismo, ono mi dowodem i serca i charakteru; napisałżeby który z nich z takiem czuciem i prawością? A koniec jak szczery! *(czyta)*. „To wszystko dla ciebie droga Zofijo, stan serca mego, nadzieje moje—ale są inni, którym winieniem zdać sprawę z położenia mego i stawić im rękojmią szczęścia twego. Ojciec twój np. ma prawo zapytać: „jaką przyszłość przedstawiasz dla dziecka mego?" O gdyby tylko chciał zapytać kiedy! chociażby tak groźnie, jak spoglądał na błąkającego się po polu myśliwca, lub z tym surowym wzrokiem, jakim mierzył mnie, kiedyśmy czytali poetów. Jabym mu odpowiedział śmiało: „pracowałem, umiem co mnie potrzeba w moim zawodzie i Bóg błogosławi méj pracy, przedemną los pewny, chociażby nieświetny, a dziecko twoje, anioł mój, może go podzielić bez obawy." O tak, bez obawy drogi Józefie i na zawsze. *(Przyciska list do serca. Słychać pukanie do drzwi, Zosia siada do stolika, niby pisze regestra gospodarskie za ojca, wchodzi pan Jan Wilkowski)*.

Zosia *(wstając)*.

Przepraszam, tylko dokończę.

Jan.

Panna Zofija zawsze zatrudniona, zawsze zapracowana, te regestra mnie się tyczą, miałbym prawo uwolnić panią.

Zosia.

Nie uwalnia się od obowiązku.

Jan.

Pani wszystko tak poważnie bierzesz, ach panno Zofijo! ta jéj surowość w rozpacz mnie wprowadza, rok już się kończy, jak tu bywam, a pani zdajesz się nie wiedzieć, jaki cel mnie tu sprowadza.

Zosia *(spokojnie)*.

Czyż potrzeba długiego namysłu, aby to odgadnąć; w samotności swojéj, oddalony od rodziny, szukasz pan rozrywki w towarzystwie ludzi uczciwych i mogących cokolwiek więcéj odpowiadać jego wykształceniu, niż reszta otaczających.

Jan.

Taki cel byłby bardzo mały i nie mógłby wytłumaczyć mojéj gorliwości; czemuż nie chcesz o Zofijo widzieć, iż sama jedynie jesteś ich celem.

Zosia.

Ja?

Jan *(padając jéj do nóg)*.

Tak pani, od ciebie zależy szczęście moje.

Zosia.

Panie Janie przerażasz mnie; do kroku tak ważnego potrzeba równie głębokiego namysłu; jestże to z wiedzą rodziców jego, zgodziliżby się oni na taką synowę?

Jan *(wstając zmięszany)*.

Cóż znaczy władza rodzicielska w obec serca?

Zosia.

Dla mnie panie Janie ona znaczy wiele, a nawet i ze względu na pana. Cóż może być milszego, jak stawić osobę kochaną pod opiekę współczucia i szacunku swéj rodziny.

Jan.

Czy wątpisz pani, że rodzina moja odmówiłaby ci tych uczuć, gdyby cię znała?

Zosia.

Tu nie mówimy o przypuszczeniach, lecz potrzeba aby tak było rzeczywiście; *osoba mojego położenia, wchodząca w dom zamożniejszy, powinna weń wchodzić z szacunkiem i uznaniem.*

Jan.

Pocóż zaczynać od tych warunków, czas zrobi to za nas; wkrótce pełnoletność moja dozwoli mi uczynić wybór, jaki zechcę. Zofijo, nie odpychaj mego serca.

Zosia.

A szacunek siebie saméj, a szczęście pana, a spokój jego rodziny, a honor ojca mojego?

Jan.

Ach pani, gdybyś miała choć cokolwiek uczucia dla mnie, nie robiłabyś tych uwag.

Zosia.

Miłość panie Janie, rodzi się tylko w warunkach odpowiednich godności serca.

Jan.

Straszne są słowa pani.

Zosia.

Wierzaj pan, że natchnione zarówno życzliwością dla niego, jak szacunkiem dla siebie saméj.

Jan

(opiera się o ścianę i ociera łzy).

Czy to ostateczny wyrok pani?

Zosia.

Panie Janie, pozwól mi przyświadczyć twemu zapytaniu.

Jan żegna się smutnie i odchodzi.

(Dokończenie nastąpi).

POLOWANIE Z SOKOŁAMI,

WYJĄTEK Z PISM STAREGO MYŚLIWCA.

. . . .

„Błogosławioną spełniam liczbę żywota mego, bo lat siedmdziesiąt siedm mospanie jak obszył: i choć mi pióro jakoś już nie chce statkować, wszelako, przy pomocy Boskiéj, będę ciągnął daléj opowiadanie moje. Niechaj wnuczek mój ukochany przeczyta kiedyś, z tych drżących liter, jak jego dziad życie pędził i czem hartował swe zdrowie za tych dawnych czasów. Nieboszczka Kundzia, świętéj pamięci żona moja, spokój wieczny jéj duszy, prosiła też mnie o to, toć dwóm potrzebom zadość uczynię.

Oj! dawne to czasy, choć nie tak co do lat mospanie, jak co do obyczajów, i różnych nawyknień, jakie musiały ustąpić przed nowemi.

W poprzedzającym rozdziale, kochany mój wnuczku, opisałem ci łowy na dzika, i jak się na tych łowach twój dziadek, mospanie sprawił. Teraz tedy przystępuje do opisu nowego, do łowów całkiem pańskich, do których używano uczonych sokołów. Dzisiaj ze słyszenia zaledwie wiesz coś o sokołach, bo spytaj się pierwszego lepszego, ażali widział sokoła? to ci odpowie mospanie, że nie. Wszystko się zmienia na tym Bożym świecie: i ludzie i zwierzęta mospanie; a przecież ja jakbym jeszcze widział przed sobą te bystre białozory, te ogoniaste, siwe rarogi, i te zwinne sokoły, co to pod chmury za ptastwem się uganiały, i zadziobawszy ptaka, wracały mospanie na dłoń swojego pana, a wszystkie miały tę samą chciwość i zaciekłość w zabijaniu zdobyczy, jako proste jastrzębie, boć też to jeden mospanie ich wszystkich gatunek.

Było to na dwa dni przed Matką Boską Siewną, kiedy na zamek Rabsztyński zjechało się chmara gości na imieniny mojéj Starościny; ja też co tylko powróciłem z kiermaszu. Acz mocno strudzony, otrzymałem od jegomości pana starosty przykaz, abym wszystko mospanie przygotował na jutrzejsze łowy z sokołami, które jéjmość Starościna od duszy lubiła. A miała swojego też sokoła nielada mospanie, co i pod obłokami zwydrzył ptaka, choć go oku ludzkiemu ani dojrzeć. Zwał się on Madéj, boć też, jak wiele ten rozbójnik swoją jabłonkową pałką nazabijał ludzi, tyle ten sokół, albo i więcéj, zadziobał już ptaków, a były niektóre skromne i spore [1]), boć dzikie gęsi, pardwy, czaple, a nawet i dropie. W całem województwie Krakowskiem, był ten Madéj znany ze swego rozbójstwa. Ja sam, mospanie, przyniosłem go ze Sokoléj-Skały pod Ojcowem; zacząłem go też wychowywać i przysposabiać od téj chwili, kiedy piórka tylko co zaczęły się na nim wysypywać, i powoli wprawiałem go do myśliwskich tajemnic ptasiego myślistwa. Żaden król mospanie podobnym się sokołem nie raczył; nieznał on rzemienia, swobodnie latał, siedząc to na ramieniu, to na głowie Jéjmość Starościny, dla któréj też go wychowywałem; nigdy on swojego stanowiska samowolnie na łowach nie opuszczał. Jeżeli, bywało, spostrzeże na przestworzu błękitnem jakowego ptaka, to zatrzepocze skrzydłami, a dopiero za pozwoleniem pani puszcza się, tak szybko mospanie, jak myśl człowiecza, i znika, a potem ze zdobyczą wraca na ręce Jejmość Starościny, tak jakby czekał nagrody, jaką w jéj pieszczotach znajdował.

Tak tedy, ja, jako łowczy mospanie zamkowy, szykowałem się już przy czasie na jutrzejsze łowy. Ledwo jutrzenka obudziła ptastwo do pienia, a pracowite pszczoły do roboty, zwołałem swoich chłopców i myśliwców na dziedziniec; rarożników i sokolników uszykowałem naprzód z sokołami, boć jako Bakałarz [1]) miałem u nich i zachowanie i powagę. Przytroczyłem też sforę mych gońców i wypuściłem z psiarni kilku legowców, boć to gust pański mógł zachcieć przy okazyi i pobobrować w sąsiednich kniejach na odyńca lub miśka [2]). Ciekawy karwat [3]), rącza obrocica, czarny cygan, i chyża śmiga radośnie mi się łasiły, i tém okazywały swój popęd i niecierpliwość ku łowom, konie w bogatych rzędach trzymali paziowie i służba dworska; powstał zgiełk i gwar na dziedzińcu; legawce szczekały, konie biły o bruk swemi podkowami. Aż nareszcie pokazali się Jegomość Starosta i Jejmość Starościna, a z niemi i dużo gości; zatrąbiłem w myśliwską trąbkę mospanie i wszyscy wyruszyliśmy w pole. Jejmośc Starościna, jeszcze pod tę porę dość młoda i gładka, dosiadła lekko swojego wierzchowca maści izabellowatéj, który tak doskonale był ujeżdżony, że zdawał się jéj myśli odgadywać. Ledwo się na nim pokazała, kiedy ulubiony jéj Madéj, mospanie z rąk jéj pazia wleciał na jéj prawe ramię. Przez całą drogę jechała przy mężu.

Tak duży ten tłum panków, chłopców i myśliwców ujechał dość spory kawał, bawiąc się po drodze to różnemi krotochwilami, to opowiadaniami o myśliwskich przygodach. Od pół drogi opuściłem państwo ze swemi podkomendnemi, i krótszą drogą obsaczyłem jezioro, gdzie było nasze stanowisko. Dotykało ono ciemnéj puszczy, do któréj po łowach z sokołami moglismy z małym trudem przenieść gonitwy na zwierza. Niebo było dnia tego bardzo przezroczyste; spodziewaliśmy się wszyscy mospanie, obfitych łowów. Już wszyscy stanęli nieopodal od jeziora, i stali tak chwilę, a na całem górnem sklepieniu oko upatrzyć nie mogło ani drobnéj plamki. Już chciałem kazać wejść między wodne trzciny chłopcu z bębnem i wystraszać ztamtąd ptastwo, kiedy Madéj raptownie zatrzepotał skrzydłami; wte-

---

[1]) Tłuste.

[1]) Bakałarz, przełożony nad łowami.

[2]) Niedźwiedź zwał się też Misiek lub Miś w języku myśliwych.

[3]) Biały chart z pręgą przez grzbiet, zwał się karwatem, od pięknie wyszywanéj sukni.

dy wstrzymałem chłopca z bębnem, i spojrzałem w niebo, ale nic tam dopatrzeć nie mogłem. Wszelakoż Madéj musiał się nie mylić, bo oko jego bystre mospanie, nigdy nie zawodziło. Jéjmość Starościna dała hasło, ptak zerwał się z jéj ramienia, pokołysał się chwil kilka, ważąc swoje skrzydła po nad głowami swojéj pani, potem wyniósł się w górę z szybkością strzały mospanie, jaką Tatarskie puszczały łuki, i potem znikł nam całkowicie z oczu, jakby się gdzieś tam w chmurach roztopił. Wszystkich przytomnych oczy podniosły się ku niebiosom, kiedy raptownie pokazał się naprzód punkt czerniejący się, który coraz się powiększał, aż nad nim i drugi się pojawił. Pierwszy punkt rosł—rosł stopniowo przed naszemi oczami, aż się okazał ptaszkiem, tak, że można było już w nim rozpoznać skrzydła; a drugi wciąż się jeszcze tylko wydawał jakąś czarną kulką, i nic więcéj mospanie.

— To czapla! mospanie, zawołałem, mając oko wprawione do tych ptaków. A tam, hen! i skrzydła naszego Madeja, mospanie, rozpoznawać się dają.

Aliści niezadługo i nasz rozbójnik powietrzny i jego przyszła zdobycz, pojawili się, mospanie, w całéj okazałości. Wtedy to było co widzieć, mospanie, było najciekawsze widowisko. Czapla zmiarkowawszy, że naprόżno usiłuje uciec od tak rączéj pogoni, z rozpaczy chwyta się, mospanie, ostatniego środka; jakto niegdyś jacyś wojownicy ściśnieni; czapla, mospanie zdawała się powiedzieć sobie: jedyne ocalenie dla zwyciężonych, nie spodziewać się żadnego ocalenia, mospanie. Tedy rozpuszcza swe szerokie loty, grzbiet odwraca ku ziemi, i nastawuje ostrego dzioba, ażeby nieprzyjaciel, mospanie, w trudnym już do wstrzymania zapędzie, na nim się przebił.

Jéjmość Starościna na widok niebezpieczeństwa grożącego jéj ulubionemu ptakowi, zbladła: wszyscyśmy, mospanie, duch wstrzymywali w piersiach, czekając z biciem serca rozwiązania i zakończenia téj walki.

Ale nasz Madéj, mospanie, nie w ciemię bity! nie dał on się omamić fortelem wymierzonym na jego zgubę. Zatrzymał się tedy mądry ptak w pogoni i na nowo wzniósł się do góry, śledząc obrotów swojéj zdobyczy. Przebiegła była i czapla, mospanie; długo swojego stanowiska nie zmieniła i nie spuszczała z oka napastnika, co się nad nią unosił: Aż nakoniec znużona wróciła do dawnego polotu, ażeby pewnie cokolwiek sił odzyskać i znowu dzioba nadstawić. Aleć ledwie przenikliwemu Madejowi grzbiet pokazała, ten nie dał jéj czasu do ponowienia swéj chytrości tak niebezpiecznéj dla niego. Rzucił się tedy mospanie, jak kula na nią, szpony swoje wrzepił jéj w grzbiet, mospanie, a przywalając swoim ciężarem, mospanie, razem z nią padł, mospanie, o kilka kroków przed nami. Okrzyk powszechny odpłacił zwycięztwo, tém świetniejsze mospanie, że czapla miała siedm piór na głowie. Przyskoczyłem tedy, schwyciłem czaplę ze szponów Madeja, który natychmiast wleciał na rękę Jejmość Starościny, uradowanéj ze zwycięztwa swojego ulubieńca, a radość tę wynurzyła ptakowi najtkliwszemi pieszczotami.



Polowanie z sokołami
(Rysował professor Łuszczkiewicz z Krakowa—wycięto w Wiedniu)

Czapla, chociaż nasz Madéj, mospanie, wnurzył jéj był śmiertelne groty, nie była tak raniona, żeby aż o jéj życiu rozpaczać. Jéjmość Starościna rozkazała mi siedem piórek ozdobnych z jéj głowy wyrwać na znak zwycięztwa, ażeby ich użyć na kitę rycerską do czapki męża. Potem własną ręką obsmarowała maścią gojącą okrutne ślady od naszego Madeja mospanie, i kazała ją puścić swobodnie. To był najciekawszy wypadek z naszego polowania z sokołami, i ten też tu wpisałem ku pamięci. Na dobitkę tych łowów, kazałem wejść w trzcinę chłopcu z bębnem, i skoro wodne ptastwo usłyszało mospanie nieszczęśliwe dla siebie *bu, bu, bu*, wzleciało w górę, a nasze sokoły i my z niemi mieliśmy, mospanie krotochwilne zabawki.

Józef Grajnert.

ANEGDOTA.

— Pewien niezręczny służący, czyszcząc srebrny imbryk do herbaty na pokładzie okrętu, wpuścił go w morze. Kiedy tak rozmyślał co tu teraz ma począć, nadszedł kapitan okrętu, właściciel tego naczynia. Panie kapitanie, rzekł służący, czy można powiedzieć o jakiéj rzeczy, skoro się wie gdzie się znajduje, że ona już zginęła. Naturalnie, że nie można tego powiedzić, mój kochany.

A to w takim razie i srebrny imbryk pański nie przepadł, ponieważ wiem, w którem miejscu na dnie morza się znajduje.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.